



rys. Barbara Komaniecka

POZYTYWKA

I

Pozytywka była stara. Choć studiowałem jej mechanizm niezwykle wnikliwie, do dziś pozostał on dla mnie tajemnicą. Pewnym było jedno: tak skonstruowane urządzenie nie mogło służyć do zabawy. Gorączkowo więc starałem się odkryć, w jakim celu została złożona, nie przyniosło to jednak żadnego skutku.

Szereg szpul, zębatek i spiral wciąż tworzył dla mnie nieodgadniony system. Sposób ich działania musiał opierać się na zbiorze jakichś niespotykanych prawideł. Nigdzie też nie mogłem znaleźć miejsca, w którym można by ją nakręcić. Doskonale gładkie kawałki hebanu, pokryte nieznanymi mi wzorami, które przywodziły na myśl jakieś zapomniane kulty, wydawały się tworzyć nierozzerwalną całość. Nawet zawiasy skonstruowano tak kunsztownie, że sprawiały wrażenie wyrosłych z polerowanego drewna.

Całymi dniami przesiadywałem zamknięty w gabinecie, usiłując wydobyć z pozytywki jakikolwiek dźwięk. Na zmianę grzebałem w jej mechanizmie i studiowałem stertę ksiąg z dziedziny zegarmistrzostwa, sprowadzoną do domu z nadzieją znalezienia choćby najmniejszej wzmianki o tym urządzeniu. Niestety, wszystkie próby szczyły na niczym.

Moja obsesja nasilała się i wiedziałem, że jeżeli nie usłyszę ukrytej w pozytywce melodii, z pewnością przyjdzie mi oszaleć.

Nie pamiętam już, skąd przedmiot ten wziął się w moim domu. Pewnie kupiłem go w jakimś antykwariacie. Takie zakupy zdarzały mi się wcale często. Zawsze, kiedy znajdowałem coś godnego uwagi, kupowałem to bez zastanowienia.

Pozytywka musiała przeleżeć niezauważona aż do dnia, w którym natknąłem się na nią ponownie.

Wtedy dopiero dostrzegłem, że jest coś pociągającego w tym niezwykle przedmiocie.

Coś, co sprawiło, że zacząłem myśleć o nim coraz częściej. Aż pozytywka stała się moją obsesją.

Zaniedbałem przez to dotychczasowe obowiązki – nie tylko przestałem komponować, lecz także nie siadałem już nawet do fortepianu. Gdybym miał rodzinę, w tym czasie pewnie bym ją stracił.

Pośród tego oblędu tylko jedna rzecz pozwalała mi wytrwać. W jakiś pokrętny sposób utwierdziłem się bowiem w przekonaniu, że pozytywka jest remedium na moje problemy. Że to w niej kryje się spełnienie moich pragnień. Że dzięki niej zaspokoję wszystkie ambicje.

Musiałem tylko usłyszeć, jak gra.

II

– Pan w to naprawdę wierzy? – Głos Anny Krzyckiej wyrwał mnie z odrętwienia.

Jednak nie odzywała się teraz do mnie.

– Ależ to prawda! – odparł zapytany. – Mogę pani zaręczyć!

Nie znałem go. Było to dla mnie zaskakujące, gdyż na półpiętro Ziemiańskiej wstęp miały jedynie wielkie osobistości.

Nawet mnie tam nie dopuszczano.

Siedząc nad kolejną czarną kawą, przysłuchiwałem się ich rozmowie. Tego popołudnia stół skamandrytów był prawie pusty. Prócz Anny i nieznanego mi mężczyzny siedział przy nim jedynie Lechoń. Poeta pozostawał milczący i nie zwracał uwagi na towarzystwo.

Anna odrzuciła w tył burzę kasztanowych włosów i upiła łyk kawy. Zdawała się jaśnieć w tym nikłym świetle, jakie panowało w lokalu.

Przychodziłem tu tylko po to, by ją zobaczyć. By być w pobliżu i czekać dnia, w którym i mnie poprosi, bym z nią usiadł.

Kochałem Annę.

Mógłbym nieprzerwanie wpatrywać się w owal jej twarzy, na której kokieteria igrała z niechęcią. Będąc jedną z najwybitniejszych kompozytorek Warszawy, mogła pozwolić sobie na taki sposób bycia. Ja natomiast mogłem

jedynie podziwiać tę kobietę w tajemnicy i mieć nadzieję, że już wkrótce stanę się częścią jej zakłętego kręgu.

– W całą sprawę zamieszany jest nawet sam Albert Rzecki. Opuszczona posiadłość, w której znaleziono zwłoki, należała właśnie do niego.

Z mojego miejsca nie mogłem dokładnie przyjrzeć się temu mężczyźnie. Miałem pewność, że znalazł się tam przez przypadek. Doskonale wskazywała na to mina Lechonia, który mimowolnie krzywił się przy każdym zdaniu. Tamten jednak opowiadał dalej:

– Nie wiadomo, jaką wiarę wyznaje ta dziwna sekta, ale pewnym jest, że składają ofiary z ludzi.

Do stolika musiał przyprowadzić go Tuwim. Pewnie znali się z Qui Pro Quo lub Morskiego Oka, kabaretów, do których Tuwim pisał teksty. I do których nigdy się nie przyznawał. Ta ich kabaretowa asocjacja wyprowadzała mnie z równowagi. W końcu ja też oddałem temu środowisku pewne zasługi – nie zliczę, ile piosenek śpiewanych między skeczami było mojego autorstwa. Jednak ja tę współpracę starałem się ukryć nieco skrzętniej.

Zresztą wcale nie chciałem dosiadać się do nich w ten sposób. Miałem pewność, że mogę zwrócić ich uwagę tym, co tworzę dla oper i filharmonii.

– To podobno jakiś stary zakon – kontynuował mężczyzna – powstały wieki temu.

W Warszawie miałyby działać od lat.

– Dla mnie brzmi to dość fantastycznie. – Anna wypowiedziała te słowa z lekką drwiną, która mnie ucieszyła. – Albert Rzecki bawiący się w tego typu rzezy? – dodała. – Dość ma innych zajęć.

– Naprawdę? A kiedy ostatnio wystawił jakąś operę?

Choć nie widziałem dokładnie twarzy Anny, doskonale znałem grymas, który musiał się teraz na niej pojawić. Owo zwięźenie oczu, nieprzyjemne jak dźwięk paznokcia skrobiącego tablicę.

Anna ceniła Rzeckiego. Współpracę z nim poczytywała sobie jako niemały honor.

I trzeba przyznać, że niewielu było w Warszawie muzyków, którzy nie podzielaliby tego entuzjazmu.

– Pan nigdy nie zdoła pojąć, na czym polega praca prawdziwego artysty.

Uśmiechnąłem się na te słowa. Ostre, choć wypowiedziane przecież tak łagodnie. Nawet Lechonia zdanie to wyrwało z zamyślenia. Żałowałem tylko, że nie mogę zobaczyć miny tamtego.

– Proszę mnie więc oświecić – odezwał się, urażony.

– Niech pan nie bierze tego do siebie – odparła Anna ze śmiechem. – Po prostu praca w kabarecie a komponowanie oper to dwie różne rzeczy. Czym innym jest bawić się w wojnę, a czym innym iść na front.

Mężczyzna milczał. Słowa Anny musiały go zabołeć. Pewnie nawet bardziej niż poprzednie. Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż na półpiętrze znów zrobiło się gwarnie. Do stolika wrócił Tuwim z Wieniawą-Długoszewskim. Towarzyszyła im wspaniała Zula Pogorzelska, posiadaczka najpiękniejszych nóg w stolicy.

Anna jej nie znosiła, miałem więc pewność, że nie zabawi tu dłużej. Nie czekając aż wyjdzie, wstałem, uregulowałem rachunek i wróciłem do domu.

III

Tego wieczoru poczułem nieodpartą chęć tworzenia. Pragnienie tak silne, że wykręcało mnie od środka. Potęgowane przeświadczeniem, że wystarczy zdobyć sławę, a Anna pozwoli mi zbliżyć się do siebie.

Kiedy usiadłem do fortepianu, ręce same zaczęły błędzić po klawiaturze, a z instrumentu rozległy się dźwięki, jakich jeszcze nigdy nie słyszałem.

Grałem nieprzerwanie, nie bacząc na upływ czasu i nie czując zmęczenia. Otaczająca mnie muzyka niosła ze sobą jakąś zaskakującą energię. Jej tkliwość wiązała się z gwałtownością, szczęście łączyło się z rozpaczą, aż w końcu z pracy moich rąk zaczęła klarować się melodia tak niespotykana, tak czysta i uderzająca, że poczułem spokój, jaki od lat nie był mi dany. Grałem dalej, nie czując nawet łez, które spływały mi po policzkach.

W końcu wśród tej radości przeszył mnie dreszcz strachu – musiałem zapisać ten motyw, by nie stracić go bez powrotu. Oderwałem się od fortepianu i ruszyłem po papier nutowy. Po drodze nuciłem głośno dopiero co wymyślony utwór i po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że coś mi akompaniuje.

Moim ciałem wstrząsnął spazm lęku.

Pozytywka grała.

Jej mechanizm, wprowadzony w ruch, wydobywał z siebie dokładnie taką samą melodię, jaką przed chwilą udało mi się stworzyć. Gdy do niej podszedłem, motyw zaczął się rozwijać.

To, co ja wygrywałem godzinami, teraz szybko przeszło w inne partie, jeszcze bardziej złożone i porywające. Owładnięty magią słyszanych dźwięków, nie wiedziałem, co począć.

Melodia zaczęła tworzyć coraz bardziej spiętrzoną konstrukcję, aż w końcu odniosłem wrażenie, że wszystko zaszło za daleko. Czułem się, jakbym dokonał

świętokradztwa. Dłonie mi drżały. Usta popękały od suchości. Trzęsłem się, chociaż w domu nie było zimno. Nie rozumiałem, jak pozytywka może wygrywać tak skomplikowany motyw.

Zmuszając się do nadludzkiego wysiłku, wyciągnąłem przed siebie rękę i zamknąłem pudełko.

Pozytywka umilkła, a ja padłem na ziemię, niemal zemdlony. Targało mną pragnienie, by jeszcze raz usłyszeć tę hipnotyzującą melodię. Czułem się jak morfinista, usiłujący wyrwać się ze zgubnego nałogu. I tak jak większość morfinistów, w końcu uległem.

Wstałem, uniosłem wieko, pozytywka jednak nie zagrała.

IV

Od tamtej pory słyszałem tę melodię nieustannie. Zaplątana w myślach, nie pozwalała mi skupić się na niczym innym. Nieprzerwanie

odtwarzała się w mojej głowie, jednak tylko do momentu, do którego sam ją zagrałem. Cała reszta pozostawała mglistym wspomnieniem.

Wspomnieniem obcowania z czymś niepowtarzalnym.

To uczucie towarzyszyło mi nawet teraz, kiedy znów siedziałem w Ziemiańskiej, przypatrując się ukradkiem Annie.

Nie było już przy niej mężczyzny z kabaretu. Rozmowa jednak dotyczyła poruszanych przez niego zagadnień.

– To niebywałe! Sam Albert Rzecki wyznawcą jakiegoś dzikiego kultu! – emocjonował

się młody poeta, przyjęty pod skrzydła Lechonia. – Pani musi to chyba przeżywać najbardziej! – zwrócił się do Anny.

– Ludzie sztuki mają swoje namiętności – odparła bez emocji. – Taka już ich natura.

Zresztą pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Jej stonowana nonszalancja niezwykle mnie pociągała. I choć to ona trzymała mnie od Anny na dystans, cieszyłem się, że z równą niechęcią traktuje wszystkich w swoim otoczeniu.

– Ma pani rację – odpowiedział poeta. – Może dlatego i mnie ta sprawa niezwykle intryguje? Należałem już do różnych stowarzyszeń, ale to to coś zupełnie innego!

– Ja w tym nie widzę niczego porywającego.

– Nie wierzę pani. Takie rzeczy działają na wszystkich.

Anna wstrząsnęła włosami i przechyliła się w jego stronę.

– Pan jest jeszcze za młody, żeby to zrozumieć – powiedziała. – Ale Albert Rzecki to postać tragiczna. Genialny artysta, zniszczony przez los i własne ambicje. Kiedy zaczął

odnosić pierwsze sukcesy, zaczęli umierać ludzie, których najbardziej kochał. Zupełnie, jakby była to cena za uznanie i sławę. Czy pan byłby skłonny do takich poświęceń? – Anna przerwała na chwilę, czekając odpowiedzi. Poeta milczał, więc podjęła znowu: – Kiedy nie pozostał już nikt z jego bliskich, jego gwiazda zbledła. Od lat próbował wrócić do formy, jednak bezskutecznie. To dlatego szukał ratunku wszędzie, gdzie miał nadzieję go znaleźć.

To, co dla pana jest intrygujące, w rzeczywistości było jedynie gestem rozpaczy.

– Sugeruje pani, że dzięki temu Rzecki miał nadzieję na nowo zacząć tworzyć?

– Niczego nie sugeruję. – Głos Anny był tak zimny, że aż przyprawił mnie o dreszcze. –

Mówię tylko, że nie można wierzyć we wszystko, co piszą gazety.

– Nie wierzę we wszystko. Ale dużo tutaj faktów. – Poeta zamachał egzemplarzem jakiegoś dziennika. – Proszę. – Podał go Annie. – Niech pani sama to przejrzy.

Anna wzięła gazetę, nie spoglądając na nią, wstała i skłaniając się, powiedziała cieplejszym już tonem:

– Tak zrobię. A tymczasem muszę iść.

Schodząc po schodach, ruszyła w moją stronę. Poczułem, jak serce zaczyna bić mi szybciej. Śledziłem każdy jej ruch, napawając się nim i marząc, by zatrzymała się przy mnie, choćby na chwilę. I tak się stało.

Trzymana przez nią gazeta wypadła jej z ręki, a ja schyliłem się, by ją podnieść. Już miałem oddać ją Annie, kiedy moją uwagę przykuło jedno ze zdjęć, przedstawiające Alberta Rzeckiego. Mężczyzna siedział przy pianinie, notując nuty, a jego skupiona twarz wyglądała tak, jakby czegoś nasłuchiwał. Nie to jednak było najistotniejsze. Na pianinie leżała pozytywka. Taka sama jak ta, która należała do mnie.

– Może pan ją zatrzymać. – Usłyszałem nad sobą głos Anny.

Kiedy uniosłem głowę, już jej nie było. Poczułem się jak idiota. Mając nadzieję, że nikt z zebranych tego nie zauważył, wyprostowałem się i rozłożyłem na stole *Kurier Metapsychiczny*. Oglądając dokładniej fotografię Rzeckiego, wiedziałem, że nie mogę żałować tego, co się stało. Na reszcie znalazłem jakiś trop.

Rozsiadając się wygodniej, upiłem łyk kawy i zacząłem czytać.

Informacje, które znalazłem w gazecie, utwierdziły mnie tylko w przekonaniu o niezwykłości pozytywki. Choć o niej samej nie było tam słowa, sam fakt, że należała do Alberta Rzeckiego, wystarczył, by pobudzić moją wyobraźnię. Szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń.

Albert Rzecki został aresztowany pod zarzutem uczestnictwa w tajemniczych obrzędach. W ich czasie składano ofiary z ludzi. Wszystko miało odbywać się w podziemiach jego letniej posiadłości, gdzie znaleziono ludzkie szczątki oraz symbole nieznanego kultu, z przerażającym ołtarzem na czele.

O samym kulcie znalazłem tylko krótką wzmiankę. Jak stwierdzał autor artykułu –

„organizacja jest wysoce zakamuflowana i od jej członków nie sposób wyciągnąć żadnych informacji. A niechby już znalazł się ktoś, kto miałby w tej sprawie coś do powiedzenia, nie zrobi tego w obawie o własne życie”.

Wiedziałem jednak, że podążając tym tropem, będę w stanie dowiedzieć się czegoś więcej.

Po nieprzespanej nocy, pełnej dreszczy i gorączkowych myśli, udałem się do Biblioteki Publicznej, pięknego budynku autorstwa Jana Heuricha, leżącego przy ulicy Koszykowej.

Nie liczyłem, że znajdę tam coś szczególnego. Miałem jednak nadzieję na odkrycie kolejnych punktów zaczepienia.

Przez cały czas towarzyszyło mi przy tym dziwne wrażenie czyjejś obecności. Czulem niemal na karku obcy oddech.

Szedłem w amoku, co chwilę obracając się, by sprawdzić, czy nie jestem śledzony.

Stroniłem od ludzi, widząc w nich wyznawców tajemniczego kultu. Chowałem się w zaułkach i bramach, jak morderca uciekający z miejsca zbrodni. Kiedy w końcu dotarłem do biblioteki, uczucie to nie zelżało. W chłodnych murach budynku wydawało się nawet narastać.

Ze stertą ksiąg, dokumentów i starych gazet zasiadłem przy pulpicie i zacząłem je przeglądać. Miałem przy tej pracy jakiś nadludzki zapał, coś, co powodowało, że działałem metodycznie i szybko, wręcz gorączkowo, nie trwoniąc choćby minuty na odpoczynek i nie czując głodu czy pragnienia. Nawet po kilku godzinach nie byłem znużony.

Jednocześnie wciąż rozglądałem się wkoło, szukając wpatrzonych we mnie oczu. Byłem pewien, że ktoś mnie obserwuje, choć poza mną czytelnia była pusta.

Tym razem nie szukałem już niczego w książkach o technice, zegarmistrzostwie czy skomplikowanych mechanizmach. To, co zajmowało mnie teraz, skupiało się na spirytyzmie, magii i zagadnieniach związanych z okultyzmem. Poszukiwania zacząłem od starych numerów *Kuriera Metapsychicznego*. Gazeta pełna sensacyjnych doniesień i opowieści niesamowitych, nie przyniosła mi jednak nic nowego. W żadnym numerze nie znalazłem wzmianki o Rzeckim ani o kulcie, którego był wyznawcą. Niektóre artykuły traktowały o innych uwikłanych w tę sprawę ludziach, jednak dotyczyły czegoś zupełnie innego.

Także książki zdawały się milczeć w kwestiach, które najbardziej mnie interesowały.

Opasłe tomy, woluminy sprzed lat i te zupełnie nowe, poruszały jedynie sprawy powszechnie znane, tematy, którymi wszyscy fascynowali się od lat i o których niemal każdy miał jakąś wiedzę. Zacząłem już myśleć, że moje poszukiwania nie przyniosą żadnego efektu, kiedy natknąłem się na coś dziwnego.

Zauważyłem to już wcześniej, ale wtedy nie wydało mi się to istotne. Na marginesach niektórych książek widniały odręczne notatki, krótkie i enigmatyczne, posługujące się jedynie skrótami. Zrazu nie przykuły one mojej uwagi i dopiero kiedy natrafiłem na nie po raz kolejny, spostrzegłem, że wykonane zostały tym samym charakterem pisma. Notatkom zawsze towarzyszyły podkreślenia.

Zacząłem spisywać je wszystkie w rzędzie, próbując dociec, co mogłyby oznaczać.

Panowała w nich pewna regularność. Zestawione razem, zaczęły w końcu nasuwać mi wyjaśnienie – Dz., 12. K. R., 54, 78. Bł., 93. Bt., 135. Ug., 234. Musiały to być przypisy wskazujące, gdzie należy szukać kolejnych wskazówek. Uznałem, że skróty odnoszą się do tytułów, liczby zaś do stron. Kiedy przejrzałem kilka książek, okazało się, że miałem rację.

Nie udało mi się rozszyfrować wszystkich odniesień, a to, co zaczęło się z nich klarować, pozostawiało zbyt wiele domysłów, żebym mógł to zrozumieć. Ustaliłem tylko, że w Warszawie rzeczywiście działała tajemnicza sekta – wynikało to z zestawienia niektórych podkreślonych zdań. Ktoś także musiał szukać informacji na ten temat. Był jednak lepiej zorientowany.

Moje odkrycie wskazywało jednoznacznie, że wszystkie sensacyjne plotki, które wstrząsnęły stolicą w ostatnich dniach, były prawdziwe.

Nie zdążyłem do końca się nad tym zastanowić, bo z zamyślenia wyrwał mnie hałas.

Wyraźny szmer dobiegający zza regałów. Zerwałem się natychmiast i ruszyłem w jego stronę.

Dźwięk zaczął się powtarzać, jednak zawsze w innym miejscu. Biegałem jak oszalały, usiłując dociec, co było jego źródłem. Rzucałem się między półki, w nadziei, że tym razem to ja okażę się szybszy. Na podłogę zaczęły spadać potrącane przeze mnie książki. Mało brakowało, a wyróciłbym cały regał.

– Przepraszam, czy wszystko w porządku? – usłyszałem za sobą ciepły głos.

Choć nie było w nim niczego niezwykłego, słowa te zdjęły mnie strachem. Odwróciłem się powoli.

Przedemną stał bibliotekarz, zgarbiony staruszek o miłej twarzy, ten sam, który mnie tu wpuścił i wydał mi książki.

– Może lepiej będzie, jeśli pójdzie pan już do domu? – odezwał się przyjacielskim tonem. – Proszę się nie martwić, posprzątam wszystko za pana.

Nagle poczułem się zmęczony. Żołądek skręcił mi się z głodu. W jednej chwili zrozumiałem, że nie dowiem się już niczego więcej. Zawstydzony i

pełny rezygnacji, odszedłem stamtąd bez słowa. Wydawało mi się, że przegrałem.

Dopiero później miało okazać się, że klęska była jeszcze przede mną.

VI

Tej nocy śniłem o Annie. Nie był to jednak sen podobny do tych, które nawiedzały mnie wcześniej.

Wędrowaliśmy wśród lodowców i śniegu, zmierzając ku widocznej na horyzoncie górze. Niebo, zlane czerwienią zachodzącego słońca, barwiło wszystko rubinową poświatą.

Nie czuliśmy zimna. Zacinający wiatr niósł ze sobą mroźne powietrze, które przynosiło jedynie orzeźwienie. Bose stopy grzęzły nam w zaspach, ale nie męczyło to nas.

Kiedy w końcu stanęliśmy u podnóża góry, otworzyła się przed nami lodowa grota, rozciągnięta w dół obszernym korytarzem. Weszliśmy do niej.

Wnętrze było ciemne, ale nie obawialiśmy się, że zgubimy drogę. Mieliśmy wrażenie, że już tutaj byliśmy, że wracamy do domu z dalekiej podróży, że te ściany lodu przyciągają nas i same prowadzą właściwą ścieżką. Po długim marszu naszym oczom ukazała się odległa aura, rozświetlająca miejsce, do którego zmierzaliśmy.

Z każdym krokiem rosło we mnie uczucie ciepła i spokoju. Bliskość Anny przepelniała moje serce radością. Trzymając mocno jej rękę, zmierzałem ku przeznaczeniu, któremu byłem w stanie oddać się w pełni.

Na miejscu znaleźliśmy niewielką sadzawkę, zamkniętą w błękitnych ramach lodu. Jej tafla emanowała przyjemnym światłem.

Anna zbliżyła się do wody i zanurzyła stopę. Chwilę badała temperaturę, po czym odwróciła się do mnie z uśmiechem. W jej oczach pełniał blask niezwykłej radości. Rozebrała się i powoli zeszła w tę dziwną toń, niknąc pod nią całkowicie.

Pchany jakimś przymusem, ruszyłem za nią. Jej sylwetka zniknęła szybko i żeby nie stracić jej z oczu, także rzuciłem się w spienione teraz otmęty.

Woda nie była zimna. Oplotła mnie w zmysłowym uścisku, doprowadzając moje ciało do rozkoszy. Widziałem przed sobą mglistą postać Anny, mającą coraz słabiej, która w końcu całkiem się rozmyła.

Z szumu szalejącego w moich uszach zaczęła wyodrębniać się cicha melodia. Melodia doskonale mi znana. Melodia z pozytywki.

Będąc już prawie przy dnie, zdałem sobie sprawę z tego, że płynę teraz w górę. Jednak kiedy się obejrzałem, wciąż jaśniał za mną blask rozsiewany przez sadzawkę, do której wskoczyłem.

Muzyka grała już bardzo głośno.

Dno, jeszcze do niedawna ciemne i nieprzeniknione, teraz stało się przezroczyste i dostrzegłem za nim kontury mojego pokoju. Przenikając je, wyrwałem się ze snu.

Usiadłem na łóżku, oddychając ciężko, mokry od zimnego potu. Wyraźnie słyszałem bicie własnego serca. Słyszałem krew pulsującą w skroniach. Słyszałem w końcu tę tajemniczą melodię, która stała się moją obsesją.

Pozytywka grała.

Podszedłem do niej, z trudem łapiąc równowagę. Choć drżałem ze strachu, nie chciałem przerwać płynących z niej tonów. Dźwięki, które z siebie wydobywała, zaczęły stopniowo działać na mnie kojąco. Powoli nabierałem pewności, że to ja jestem ich autorem. Że pozytywka musi odbierać i przetwarzać w jakiś sposób wszystkie moje emocje i myśli, czyniąc z nich muzykę, którą chciałbym skomponować.

Owładnięty tym odkryciem, chwyciłem za papier i zacząłem spisywać słyszane dźwięki.

W odpowiedzi na to pozytywka rozpoczęła cały motyw od nowa. Tworzony utwór napawał mnie zachwytem. Stawiałem szereg nut, czując się, jakbym tworzył nowe światy. Z moich oczu płynęły łzy. Łzy szczęścia i rozpacz. Miłości i żalu. I wszystkie one znajdowały odzwierciedlenie w powstającej właśnie kompozycji. Kolejne takty były coraz bardziej

poruszające. Słuchając ich, drżałem z rozkoszy. Pojedyncze tony zatraciły się już zupełnie, splątane w gęsty wir dźwięków, dotykający mojego ciała w sposób niemal fizyczny.

Kiedy euforia sięgnęła zenitu, pozytywka zamilkła. Dzieło było skończone.

Gdy postawiłem ostatnią nutę, padłem bez sił na podłogę. Jeszcze zanim straciłem przytomność, wstrząsnęło mną dławiące przeczucie. Przeczucie, że stało się coś przerażającego.

VII

– Musicie mnie do niej dopuścić! – Wtargnąłem do domu Anny, nie bacząc na usiłującą powstrzymać mnie służbę. – Muszę przekonać się na własne oczy!

Przebiegłem przez pełny ludzi korytarz i stanąłem u drzwi salonu. Wszystko to, czego się obawiałem, okazało się prawdą.

Ciało Anny leżało przykryte prześcieradłem. Przy fortepianie rozsypał się plik nut, których nie zdążyła już zapisać do końca. Zebrani, ze smutnymi minami, powtarzali w kółko tylko jedno słowo – serce. Podobno dostała ataku w czasie pracy nad nową kompozycją.

Wiadomość o śmierci Anny dotarła do mnie z samego rana. Jeden z przyjaciół, który wiedział o moim afekcie do Krzyckiej, przesłał mi liścik z tą informacją. Nie bacząc już na nic, wezwałem dorożkę i ruszyłem do jej willi na Sadybie.

Przez całą drogę miałem nadzieję, że wiadomość okaże się pomyłką. Ponurym żartem lub zwykłym przeinaczeniem. Teraz jednak nie mogłem mieć wątpliwości.

Na widok nieruchomego ciała Anny, jej bladej dłoni wystającej spod płótna, poczułem nieopisaną rozpacz. Dojmujące uczucie wewnętrznej pustki. Miałem ochotę umrzeć. Przestać istnieć.

Bezradny i zrezygnowany, z ciałem odrętwiałym i zeszywniałym z bólu, padłem przy niej na kolana i zacząłem całować jej martwą skórę.

Zebrani w salonie ludzie usiłowali mnie podnieść. Doprowadzić do porządku. Wyrwałem się im i runąłem w tył, na porozrzucany po podłodze nutowy papier.

Jedno spojrzenie nań wystarczyło, bym zrozumiał wszystko. Bym pojął, jaką cenę zapłacił Rzecki za swoją sławę i jaką cenę przyszło teraz zapłacić mnie.

Zachciało mi się śmiać.

Musiałem wyglądać jak szaleniec, kiedy drżącymi rękami przeglądałem kompozycję, nad którą pracowała Anna, śmiejąc się przy tym obłąkańczo. Poznałem ją od razu. Była to ta sama melodia, którą udało mi się spisać wczorajszej nocy.

Melodia z pozytywki.